

— Niech się pan dobrze przypatrz — odpowiedział z naciskiem pan Ginory.

Montin pochylił się nad kliszami i przeglądał je uważnie.

— Co pan widzi na tych kliszach? — badał dalej sędzia.

— Widzę bladą, mglistą sylwetkę jakiegoś człowieka.

— I nie znajduje pan, że ta sylwetka dziwnie przypomina pana.

Niepokój i rozpacz obłądna wybuchnęła z oczu Jerzego Montin. Spojrzał na sędziego z wyrazem blizkiego obłąkania.

Pan Ginory zadrżał nerwowo i zaciął wargi.

— Pan mówi, że ta sylwetka jest do mnie podobna — wymówił z trudem Montin.

— Tak jest. Niech się pan dobrze przypatrz. Na pierwsze wejście portret ten nic nie wyraża, ale przy bliższym rozpatrzeniu występują jaśniejsze rysy i postawa, ładząco przypominające pana.

— Może być. Rzeczywiście zdaje mi się, że widzę odbitą swoją postać w jakimś małym, zaciemnionym lusterku. Ale co to ma znaczyć? Czy pan sędzia może mnie bliżej objaśnić?

— Owszem... To znaczy... niech się pan przygotuje na niemałe zdziwienie. To znaczy...

Pan Ginory przerwał i zwrócił się do pisarza.

— Panie Taravel! — rzekł — Pan był świadkiem doświadczenia uczynionego parę dni temu przez doktora Bartheleny, nieprawdaż. Otóż to jest jeszcze bardziej ciekawe i zdumiewające. Te fotografie — mówiąc do sędziego, patrzal prosto w twarz Jerzego Montin — zostały wywołane z żrenicy człowieka zmarłego. Są one odbiciem, reprodukcją obrazu widzianego w chwili ostatniej przez konającego. Jest to ostatnie jego wrażenie optyczne... Żrenica zmarłego wyjawia nam wielką tajemnicę i staje się najważniejszym dla nas świadkiem. Świadkiem, który oskarża ostatniego widzianego przez siebie człowieka.

Taka cisza zaległa pokój, że słysząc było przyspieszony oddech trzech mężczyzn, w nim się znajdujących. Ale jeden z nich tylko tracił pod ciężarem tych strasznych, oskarżających słów — równowagę umysłu i świadomość rzeczywistości.

Odkrycie to dla Jerzego Montin było strasznym ciosem! Dla sędziego, przyzwyczajonego do scen podobnych, była to chwila decydująca — chwila, na której kończyły się wszystkie jego starania i dociekania, w której człowiek badany przechodzi w męce ostatniej wszystkie szczeble denerwującego badania i staje się nareszcie oskarżonym.

Jerzy Montin instynktownym ruchem odrzucił od siebie daleko, trzymane klisze, które jak ogień paliły jego ręce i odetchnął głęboko.

— A więc? — zapytał krótko i sucho pan Ginory.

— Nic! — odpowiedział Montin, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, jakgdyby pod wrażeniem jakiegoś przykrego, obezwładniającego go snu.

— Jakże pan sobie tłumaczy to, że obraz czy cień pana odbił się tak dokładnie w żrenicach pana Rovere i że w chwili agonii, pana, tylko pana widział pochylonego nad sobą?

Montin patrzył dalej błędnie przed siebie, zadając sobie pytanie, gdzie jest, co mówi do niego ten niski człowiek o błyszczących, przenikliwych oczach.

— Panie Montin, proszę pana o odpowiedź.

Montin oprzytomniał trochę.

— Jak sobie tłumaczyć? — wyrzekł z wolna — Ależ ja tego wcale sobie wytłumaczyć nie umiem... Nie wiem... Nie rozumiem... To szaleństwo, to istne szaleństwo! Można głowę stracić!...

— Ale jednakże — nalegał sędzia — to szaleństwo, skoro się pan tak wyraża, musi być wytłumaczone w jakiś sposób.

— Jakież tłumaczenie dać panu mogę! — zawołał rozpaczliwie Montin — Powtarzam panu, nie rozumiem! Nie rozumiem nic zgoła!

— Co bądź jest jednak, nie może pan zaprzeczyć, iżby się pan nie znajdował w mieszkaniu pana Rovere, na bulwarze Clichy, w chwili kiedy zamordowano go?

— Dlaczegożby nie mógł zaprzeczyć?

— Bo ta odbitka, ta wizja pozostała w oczach zmarłego, ta fotografia, która oto leży tu przed panem na stole, może zupełnie zbić pana słowa i w kłam je obrócić. Ona oskarża pana najwymowniej, że znajdował się pan przy panu Rovere w chwili jego zgonu.

— Nie byłem tam jednak! Nie byłem! — zawołał stanowczo Jerzy Montin.

— A więc proszę mi to wyjaśnić! — rzekł pan Ginory ironicznie.

Montin milczał, nie mogąc słowa z piersi wydobyć.

— Ja śnię!... Ja chyba śnić muszę — wyszeptał rozpaczliwie, wodząc oczami po pokoju.

— Niech pan zauważy — mówił dalej sędzia

spokojnym głosem — że nie przywiązuję wielkiej wagi do tych reprodukcji fotograficznych. Na nich jedynie nie budowałbym oskarżenia. Ale zawierają one dziwne świadectwo, nieprawdaż? Bardzo niepokojące i dające wiele do myślenia. Dodają one do milczenia pana pewne posadzenie, które dla mnie, sędziego, obojętnym być nie może. Pan twierdzisz, że się nie znajdował przy panu Rovere w chwili jego ostatniej. Te klisze milczące twierdzą wręcz przeciwnie. A więc panie Montin, powiedz mi pan przynajmniej, gdzie pan był w dniu dokonanego morderstwa? Czy i tego powiedzieć mi pan nie może?

— Nie wiem dokładnie. Może byłem u siebie. Może gdzieś indziej. Muszę myśli zebrać... O której to godzinie Rovere został zamordowany?

Pan Ginory uśmiechnął się złośliwie.

— O tem to już inni muszą lepiej wiedzieć odemnie. No tak! — dodał zauważywszy gniewny wyraz twarzy Jerzego Montin — Inni. Naprzykład lekarz, który śmierć konstatował.

Następnie niedbale zaczął przeglądać papiery.

— Tak! Z tych zapisków wnoszę, że ten nie-szczęśliwy Rovere musiał zostać zamordowanym około godziny pierwszej w południe. W samym środku Paryża, o takiej godzinie i na ulicy tak ruchliwej. Nieprawdaż, że to zadziwiające?

— O tej godzinie — rzekł Jerzy Montin — nie było mnie w domu. Wyszedłem właśnie...

— I gdzie się pan udał?

— Wyszedłem przejść się trochę. Miałem migrenę. Aby się od niej uwolnić, przechadzałem się po polach Elizejskich.

— I w ciągu tej przechadzki nie spotkał pan nikogo?

— Nikogo!

— Nie wszedł pan do żadnego sklepu?

— Nie!

— A więc nie może pan udowodnić mi, że jest prawdą to, co pan mówi?

Na słowa te Jerzy Montin zadrżał silnie. Uczuł znowu, jak obręcz żelazna zacieśnia się coraz silniej wokół niego.

— Nie jest prawdą to, co mówię? — zawołał gwałtownie — Ależ panie sędzio, co to ma znaczyć? Więc pan mnie naprawdę oskarża o zamordowanie przyjaciela?

— Nie oskarżam, badam pana. — brzmiała spokojna odpowiedź pana Ginory'ego.

— Przemawia pan jednak do mnie jak do oskarżonego, do zbrodniarza! Ja tego nie zniosę!

— Spokojnie, panie Montin! Badam pana, wypytuję, ale ostrzegam pana, że rzecz całą przedstawia panu w złym świetle. Pan się zasklepił w jakimś niezrozumiałym dla mnie milczeniu i chce zachować dla siebie szczegóły, które nam bardzo użyteczne być mogą i zaprowadzą na właściwą drogę. Pan nie jest jeszcze oskarżonym, ale nim pan będzie...

Pan Ginory urwał i czekał. Chciał temu człowiekowi dać chwilę do zastanowienia się... Cekał więc z piórem do góry wzniesionem, nad arkuszem papieru, który miał się stać aktem aresztowania i zwlekał chwilę ostateczną.

— Jedno słowo szczerzej prawdy, panie Montin. — wyrzekł w końcu zachęcającym głosem. — Grozi panu wielkie niebezpieczeństwo. Niech się pan zastanowi. Pan widzi ten papier?

— Widzę?

— Ten arkusz podpisany przeze mnie zepchnąć może pana w jednej minucie do rzędu ludzi, nie-istniejących dla drugich. Czy pan rozumie swoje położenie?

— Rozumiem. Ale pan tego nie będzie śmiał uczynić — odparł zuchwale z pewną brawurą Jerzy Montin. — To mógłby uczynić sędzia śledczy, ale nie człowiek!

— Człowiek i sędzia stanowią jedną osobę, kiedy chodzi o wypełnienie obowiązku. Zresztą nauk moralnych nie potrzebuję od pana. Pytam po raz ostatni — czy zechce pan mówić?

— Nie.

— Sam pan zdecydował o swoim losie. Śmieszny jest upór pana i to zastanianie się słowem honoru, kiedy w grze zaangażowana jest głowa pana. Robi pan na mnie wrażenie złego i krnąbrnego dziecka.

— Obojętnem mi jest pana zdanie.

— Panie Montin, proszę panować nad sobą. Postępuję z panem według zasad prawa i ludzkości, przeciągając rozmyślnie tę rozmowę, bo chcę dać panu możność do wypowiedzenia się... No jakże — namyślił się pan?

— Nie powiem nic, nic... nic zgoła! — mruknął gniewnie Jerzy Montin.

— A więc, Jerzy Montin — wyrzekł głębokim, poważnym głosem pan Ginory — jesteś pan od tej

chwili aresztowanym! Słyszysz mnie pan? Stanesz niedługo przed sądem przysięgłych jako oskarżony o zamordowanie pana Rovere!

Wzniesione dotąd pióro sędziego opadło szybko na rozłożony arkusz papieru, zatwierdzając wyrok wydany. Pisarz ogłupiały i zdenerwowany spojrzał na oskarżonego. Jerzy Montin nie poruszył się z krzesła. Miał wyraz człowieka zahipnotyzowanego, bez woli i czucia. Twarz jego marmurowo blada, jakby skamieniała, martwa była i bez życia.

Pan Ginory, nie patrząc na niego, nacisnął guzik elektrycznego dzwonka. Dwóch policyantów stanęło na progu, czekając rozkazu.

— Odprowadźcie oskarżonego do aresztu — wyrzekł dobitnie pan Ginory.

Machinalnym ruchem, bez najmniejszej oznaki buntu, Jerzy Montin powstał i chwiejąc się lekko poszedł z dozorcami.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, pan Ginory westchnął ciężko, jak człowiek, któremu ciężar jakiś spadł z piersi.

— Dawno nie przeżyłem tak przykrych chwili — rzekł zwracając się do pisarza. — Ten człowiek dumny i uparty, trudny był do pokonania. Ale mam go już w rękach! Zobaczmy teraz, co dalsze śledztwo wykaże.

VIII.

Pan Bernardet tryumfował. Powrócił dnia tego do domu w najlepszym usposobieniu i żartował tak, jak to dawno już nie czynił z córeczkami swojemi i żoną.

— Moje kochane — rzekł im przy obiedzie — zdaje mi się, że nie napróżno pracowałem w tych dniach i że mój szef będzie ze mnie zadowolony. Pan Leriche nie zawsze jest przyjemnym, ale przyznać mu trzeba, że umie być sprawiedliwym. Dostanę od niego pochwałę i podwyższenie pensji. Ale nie myślcie, że pragnienie zysku pieniężnego popchnęło mnie do pracowania tak wytrwale. Pociągnęło mnie ciekawe odkrycie i jestem pewnym, że mój aparat fotograficzny odda jeszcze nie jedną przysługę policyi.

Dnia tego Bernardet zjadł obiad z dobrym apetytem, wspominając ciągle o interesującej go sprawie.

— Więc już odkryto mordercę pana Rovere — zapytała jego żona, również przejęta przebiegiem śledztwa.

— Oczywiście — odparł tryumfująco Bernardet. — Już w tej chwili siedzi pod kluczem!

— Musieliście ważne odkryć poszlaki, skoro aresztowanie jego nastąpiło tak prędko.

— Bardzo ważne! Właściwym oskarżycielem był mój aparat fotograficzny.

— Żartujesz, Bernardet!

— Nie, moja kochana, tak jest, jak ci mówię. Aparat mój a właściwie zdjęcia zdradziły go. Ale ty tego zrozumieć nie możesz...

— Bardzo był przygnębiony wiadomością aresztowania?

— Oh, zaręczam ci, że nie był wcale zadowolonym. Oh, tak, nie był zadowolonym i zdziwionym bardzo...

— Czy starał się uniewinnić?

— Oczywiście! Tak jak wszyscy oskarżeni twierdził, że jest niewinny, jak nowo narodzone dziecko. Ale my to już znamy! Takie sztuczki z nami się nie udają!

— Ale gdyby jednak był niewinnym? — zapytała z dobrocią pani Bernardet. — Jak myślisz, Bernardet! Przecież on pomimo pozorów może nie być winien śmierci pana Rovere.

Słyszając to zapytanie, wymówione łagodnym, wzruszonym głosem, dziewczynki podeszły do ojca i wpatrzyły się w niego niespokojnie.

— Gdyby mama miała słuszość — wyszeptała najstarsza. — Słuchaj tatusiu, może on jest niewinny?

Bernardet wzruszył ramionami i zaśmiał się.

— Dajcie mi spokój, mówicie nedoręczności! Gdyby was słuchać chciano, to nie byłoby ani jednego mordercy na świecie. A ja wam mówię, że są i więcej niż przypuścić możecie. Jeżeli ten Montin jest niewinnym, to prędzej uwierzę, że śnieg w lipcu padać u nas może! Nie rozumiecie się na tem i mówicie głupstwa! Takie oskarżenia muszą być udowodnione przedtem.

— Więc według twojego przekonania, mój kochany — rzekła pani Bernardet — niema nigdy niewinnie zasądzonych? Taki wypadek nie zdarzył się jeszcze?

Bernardet zastanowił się chwilę

(Ciąg dalszy nastąpi)